Cena 40 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 10 (15). Warszawa, czwartek dnia 11 marca 1937 r. Rok II.

MILION DON KISZOTÓW

„Polsce potrzeba idei!" oto naczelne hasło, przewijające się bez ustanku we wstępnych artykułach olbrzymiej części prasy polskiej. „Nie macie idei" — powtarzają z uporem popsutego gramofonu publicyści i domorośli politycy — „wasza idea już się zrealizowała — to niepodległość. Dziś tylko my mamy ideę! Do nas należy przyszłość!"

Bezmyślność tej ideowej tromtadracji jest nie tylko denerwująca, jest także niebezpieczna, trzeba tylko zanalizować jej głębszy podkład i wyprowadzić z tej analizy wnioski. Postaramy się zrobić to poniżej.

Na wstępie trzeba zaznaczyć, że to szantażowanie posiadaniem idei nie wydaje nam się zbyt groźne; wystarczy spojrzeć wstecz, żeby skonstatować bez trudu, że nie jedna małość pieczętowała się frazeologią wielkiej idei, że szukała dróg realizacji jak najdalej od pustego frazesu. Idea może nie mieć nic wspólnego z ideowcami i ideowością; ideowość może się ujawnić jedynie w działaniu, gadanie zaś o ideach jest stałym nałogiem głupców i próżniaków. Było by sto razy sensowniejszym twierdzić, że Polska cierpi nie na brak, ale na nadmiar idej; mesjanizm, syndykalizm, hoene-wrońskizm, demanizm, chrześcijański nacjonalizm i wszyscy Święci oto idee, które można nabyć za 20 groszy w każdym narożnym kiosku z gazetami, natomiast z realizacją czegokolwiek jest w Polsce znacznie gorzej. Tropiciele wielkich idej, heroldzi „misji dziejowych", odgadywacze „nurtów" i orędownicy „przewrotów ducha" dziwnie milkną i cichną w obliczu konkretnych zagadnień. Nie mamy tu zamiaru obniżać znaczenia idej prawdziwych i prawdziwie wielkich. Dla nas idea to pewien cel nadrzędny, któremu podporządkować trzeba cele niższego rzędu, do którego dostosowuje się plan działania i dla którego koordynuje się kierunkowości wszelkich wysiłków. I tego nadrzędnego celu, tej jak kto woli idei nie potrzebujemy szukać ani na księżycu, ani w literaturze, ani nawet we własnym sercu. Krótko i węzłowato: celem naszym jest potęga państwa. Czyż trzeba nam jeszcze załamywać ręce i wołać: Szukajmy idei! Czy potęga i rozwój państwa polskiego to idea nie wystarczająca? Czy wyzwolenie wszystkich sił twórczych dla służby państwu to mało? Czy stała praca nad doskonaleniem form państwa polskiego to cel za mało frapujący? Tylko ten cel wymaga żmudnych i realnych wysiłków, a nie zachłystywania się frazesami i upajania się że „mamy ideę". Wielkości idei nie mierzy się pięknem słów wymawianych w jej imię, ani co ważniejsze siłą uczucia jakie wzbudza w jednostce, jedynym sprawdzianem są konkretne wyniki; piękno i blask legendy dostrzegalne są dopiero „ex post", z perspektywy czasu, który bezlitośnie demaskuje deklamatorów wpisujących się do historii fetyszami pustego fałszu.

Nie piszemy tego wszystkiego na naszą tylko obronę. Legitymacja „idei" jest nam w naszej pracy zbyteczna. Ważniejszym dla nas jest ujawnienie tego niebezpieczeństwa jakie tkwi bezspornie w szafowaniu chorągiewkami „idei". Niebezpieczeństwem jest w dzisiejszych czasach odbudowanie jakiegoś irracjonalizmu, uczynienie z uczucia głównego motoru postępowania. Czasy które nadchodzą, to czasy świadomości i odpowiedzialności w kształtowaniu dziejów.

Panowie „uczuciowcy" chcieliby wykręcić się od olbrzymiej odpowiedzialności ciążącej na każdym z nas, chcieliby skryć się za parawanem „idei", „misji" i „nurtów dziejowych" poczętych gdzieś poza nami i bez naszego udziału, chcieliby pozostawić przyszłość wolnej grze ślepych sił i nieobowiązujących „uczuć" czy „namiętności". Już wiele lat temu Roman Dmowski rozumiał historię jako zmaganie się bliżej nieokreślonych „sił psychicznych", dziś zaś kult irracjonalizmu i odruchu przybiera niepokojące rozmiary, tym bardziej, że epoka nasza wymaga nastawienia wręcz przeciwnego.

Rozwój procesów historycznych, obserwowanych w skali stuleci, pozwala wyraźnie zaznaczyć stale wzrastający element świadomości kształtowania rzeczywistości, stale wzrastającą precyzję poszczególnych konstrukcji podporządkowujących się coraz bezwzględniej dyscyplinom trzeźwego umysłu, coraz mniej zostawiających miejsca na uczucie i nieodpowiedzialność.

Systemy wartości kulturalnych doskonalą się coraz bardziej i stają się coraz bardziej precyzyjne. „Systemy techniczne, od techniki łupanego kamienia do nowoczesnej fabrykacji maszyn; systemy społeczne, od stosunku małżeńskiego do wielomilionowego państwa, systemy ekonomiczne od gospodarki rodzinnej Pigmejów afrykańskich do fortuny Rockefellera lub banku angielskiego; systemy religijne od totemizmu ludów Australii środkowej do buddyzmu lub chrześcijaństwa; systemy poznawcze od prostego wniosku dziecka do systemu fizyki nowoczesnej; systemy artystyczne, humanistyczne, językowe" (patrz Florian Znaniecki: „Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości").

W najodrębniej rozwijanych układach dynamicznych obserwujemy tę samą linię rozwojową. Zwłaszcza układy państwowe wymagają stale coraz ściślejszego myślenia. Weźmy typowo państwowy przykład: wojna. Nie negując znaczenia odwagi i cnót żołnierskich obserwujemy na przestrzeni historii jak poprzez stworzenie i rozwój ośrodków sztabowych, poprzez stałe doskonalenie uzbrojenia i decydujących sprzętów wojennych, punkt ciężkości przesuwa się stale z siły fizycznej w kierunku momentów planistycznych i wynalazczych, decydująca rozgrywka przenosi się z walki wręcz na walkę intelektów w laboratoriach i pokojach sztabów. Podobnych przykładów z każdej dziedziny życia państwowego można by przytoczyć bez liku.

W takich momentach niebezpieczeństwo bezmyślnych „idei" i „misji" zamiast świadomości i odpowiedzialności oraz najbardziej ścisłego myślenia jest chyba wystarczająco widoczne.

Idei uczucia przeciwstawiamy ideę intelektu. Potężny ruch umysłowy i realizowanie w myśl jego wskazań aktualnych potrzeb Państwa oto idea XX-go wieku, która raz na zawsze wykreśli z grona żyjących błędnych rycerzy i Don Kiszotów i zamieni ich w upiory dawno minionej przeszłości.

Strzeżcie się Don Kiszoci! Idą czasy, w których nie będzie już wiatraków. Zastąpią je młyny poruszane elektrycznością.

KONIECZNOŚCI PAŃSTWOWE

W o ile szczęśliwszym położeniu od teoretyka-państwowca znajduje się matematyk i fizyk, którzy używają symboli matematycznych, ścisłych i jednoznacznych, a nie słów, potoku słów...

Szczęśliwszym jest i przyrodnik w swym laboratorium: wybrał sobie określone, jasne zagadnienie i korzysta dla realizacji jego z uporządkowanych teorii, ścisłych przyrządów, zbadanych odczynników.

Lecz i fizyk i przyrodnik tracą na swej jasności, prostocie i pewności, gdy tylko próbują przekazać laikom swe zdobycze naukowe, lub wprowadzić niedokształconych w arkana swych metod, swych dociekań.

Każdy uczony lub człowiek obyty z metodami wiedzy wie doskonale, że żadna popularyzacja nie pozwoli laikowi zasiąść do pracy choćby pomocniczej w laboratorium.

Laboratorium jest przeznaczone dla tych, którzy opanowali wielkim wysiłkiem wiedzę i przeszli trening w umiejętności korzystania z przyrządów, narzędzi, a przede wszystkim metod, stosowanych w danej gałęzi wiedzy.

Słowa, miny, gesty, ambicje i wszechpotężne protekcje nie zdadzą się tutaj na nic. Najmniej powołany, najwięcej nieudolny i „nie na miejscu" profesor pomimo wielkiej protekcji musi posiadać choć minimalny cenzus fachowy, czy zawodowy.

Jakże inaczej jest w dziedzinie pracy publicznej — szczególnie w Polsce; każdy uważa się za uprawnionego do wypowiadania się w sprawach politycznych; więcej, każdy gotów jest każdej chwili zostać jeśli nie ministrem, to dyrektorem departamentu w dowolnym resorcie.

A jeśli na nieszczęście jest pisemnym, nie widzi żadnych przeszkód, by został publicystą, a jeszcze prędzej — redaktorem.

A wszystko to wynika z przeświadczenia, że z gry słów — układa się myśl; że takie lub inne żonglowanie słowami może dać prawdziwe wartości umysłowe. Jeszcze gorzej: wszyscy „piśmienni" i obgadani w kawiarniach **żądają** od mężów stanu czy teoretyków państwowców, by tłumaczyli się przed nimi ze swoich zamierzeń i planów — językiem dla nich zrozumiałym.

Jeśli myśl nie układa się w ramy znanych im formułek, odsądzają ją od wszelkich wartości.

Niestety, teoretyk i myśliciel w dziedzinie spraw państwowych u nas nie ma swego laboratorium, dokąd wstęp nieukom był by wzbroniony.

W państwach dynamicznych przy całej ich nietolerancyjności, a nawet przy przymusie w stosunku do uczonych, mają oni warsztat pracy zabezpieczony od gapiów i durni.

Jeszcze bodaj gorszym od wtrącania się „byle kogo" do wiedzy o państwie, jest nacisk z ich strony w kierunku „tworzenia" t. zw. programów. Program to najgorszego typu „popularyzacja wiedzy"; polega on na tym, że próbuje się popularnie wytłumaczyć i przedstawić plan działania państwowego, czy akcji politycznej.

Jeżeli w popularyzacji wiedzy przyrodniczej często spotyka się dziwolągi, których wstydzi się uczony, to jest to jeszcze niewinna zabawka, wobec bzdurstw i nonsensów, którymi zapełnione są wszystkie niemal programy.

Daje się w nich obietnice zamiast konstrukcji, papla się o „przyczynach" uzasadniających jakieś bolączki, gdy wiedza nie upoważnia do żadnych wycieczek w tym kierunku, wyjaśnia się cele, które nie są celami, i w każdym razie są nie osiągalne przy danych założeniach i t. d.

Do autorów programu należałoby zastosować pomysł pewnego amerykańskiego pisarza, który proponował, aby niepoprawnym grafomanom odczytywać powielekroć (po uprzednim przywiązaniu ich do łóżka) ich własne utwory.

Autorzy programów winni byli by wysłuchać ich tyle razy, ilu nieszczęsnych, a naiwnych czytelników spotkało nieszczęście czytania ich arcydzieł programowych.

Może to poskutkowało by — i liczba tych dręczycieli programowych zmniejszyła by się do normy procentowej niebezpiecznych wariatów.

A teraz przejdźmy od omawiania tych słów i frazesów do spraw zupełnie prostych, oczywiście dla **państwowców**, a mianowicie do **konieczności** państwowych.

Będziemy mówili o koniecznościach państwowych w Polsce, gdyż to jest naprawdę interesujące i ważne.

Otóż nie potrzeba żadnych dodatków przymiotnikowych o państwie, czy narodzie, by ustalić konieczność wzmożenia przemysłu wojennego, produkcji surowcowej, motoryzacji lub elektryfikacji kraju.

Są to sprawy fachowe i mogą być rozwiązane tylko przez najlepszą wiedzę i wielki wysiłek odpowiednich fachowców po **wypracowaniu planu działania.**

Tymczasem u nas i Sejm, i partie, i t. zw. opinia, to jest pisma i kawiarnia, bez ustanku rozstrząsają sprawy, kto, poco, w imię kogo, i dlaczego ma te konieczności państwowe realizować. Kto z kim i dlaczego uzgadniać, czy dąsać się, zasiadać razem do stołu, czy boczyć się — oto pytanie i sprawy interesujące naszych „polityków".

Wywołuje się „z ulicy" nie tylko wykonawców, ale talenty planistyczne i organizatorskie. Do ułożenia planu i kierownictwa akcją przebudowy gospodarki, czy psychiki, zamiast **przygotowania** ludzi o najwyższym poziomie wiedzy i umiejętności, poszukuje się ludzi, mających „mir" w masach.

Co za sarabanda, co za karnawał, czy swojski odpust!

Ruch umysłowy państwowy przeciwstawia się jak najostrzej takiemu bawieniu się dzieci w państwo.

Sprawy państwowe są trudniejsze od przyrodniczych zagadnień i przygotowanie do pracy państwowej winno być znacznie głębsze niż w innych działach wiedzy i umiejętności ludzkich, gdyż odpowiedzialność za wykonanie tych prac jest nieskończenie większa od tamtych.

Złe prowadzenie laboratorium daje złe rezultaty na danym odcinku, czasami odbija się ujemnie na sąsiadujących; czasami może być zastąpione innym laboratorium.

Za zły plan państwowy i złe przeprowadzenie nawet dobrego planu — płaci całe państwo i całe społeczeństwo w sposób nieraz bardzo krwawy. Myśmy w historii zapłacili utratą niepodległości, czyli utraciliśmy na wiele, wiele lat możność w ogóle układania planów państwowych.

Zabawa w plany państwowe przez zapraszanie laików z ulicy, często bezwiednie sabotujących samo państwo, jest zabawą złą i niebezpieczną.

Jeżeli tak wielkie państwa jak Niemcy, Włochy, a także Japonia, Rosja i t. d. zaprzestały tej zabawy, to o ile mniej możemy pozwolić sobie na to my — po tak długiej i ciężkiej niewoli!

Ile czasu najdroższego, ile wysiłków niepotrzebnych straciliśmy już w Niepodległej na tę bzdurną zabawę?

Dziś po szalonych, olbrzymich rzutach naprzód pod względem podniesienia potencjału militarnego naszych sąsiadów, już nie tylko namysł winien był zatrzymać nas w tej zabawie.

Ludziom świadomym, myślącym i znającym się na rzeczy wyrywa się krzyk zdumienia i trwogi, gdy patrzą na naszych sąsiadów.

U nas — słowa, słowa, przymiotniki do państwa, cele, misje, tłumaczenia się mężów stanu ze swych czynów przed nie rozumiejącą i nie mogącą rozumieć masą, czy społeczeństwem. Z czynów, czy lawirowania pomiędzy koniecznościami państwowymi, z jedyną troską, by nie wywołać zbytniego sprzeciwu zainteresowanych grup, koterii, czy obcych sprawie czynników.

Konieczności państwowe nie mogą być rzucane na płaszczyznę żadnych grupowych uzgodnień, kłótni, zgrywań się personalnych czy koteryjnych.

Konieczności państwowe nie mogą rozkładać się na odcinki resortowe, czy inne, które rozpatruje się w oderwaniu od całości planu i stara się rozwiązać zgodnie z „rzeczywistością" czyli interesami grupowymi na danym odcinku. (11).

TOK GŁUSZCA

Narastająca przez 200 lat lawina grzechów i zbrodni, braku myśli i poczucia państwowego w mózgach i sercach rzeszy klejnotowej zatrzymała się na chwilę przed zdruzgotaniem ostatecznym konającego państwa.

Potworne oblicze socjologii szlacheckiej XVIII w. dzięki dynamicznemu wysiłkowi ruchu umysłowego, płynącego niepowstrzymaną falą z zachodu Europy w znacznej mierze lecz niezupełnie zostało obdarte z zasłony i w ogniu namiętnych dyskusyj wystawione na pokaz publiczny. Łyknęła nieco Polska odżywczego tchu zmęczonymi płucami i wykorzystując drogocenny czas wysiliła się na spotęgowanie prac reformatorskich.

Czas determinował, czas groził i naglił do szybkiej roboty, choćby nawet z grubsza, nie zawsze idealnie, ale *zawsze kierunkowo* i planowo wykonanej. Wszystko więc to, co w jakikolwiek sposób tamowało pęd prac i rzucało kłody pod toczące się koła wozu Sejmu Wiekiego, było zbrodnią dokonywaną na ciele Rzplitej.

Wiadomo, że w górach lawiny zatrzymane cudownym sposobem na mikroskopijnych występach skalnych zasypywały nieostrożnych turystów zbyt wiele i głośno rozmawiających... Niewspółmierne bywają drobne przyczyny z olbrzymimi skutkami, choć nikt nie będzie twierdził, że z powodu dźwięku narosła lawina.

Nie tylko rzeczy pierwszej wagi potrafią wywołać katastrofę...

Polskę zdradzono, przemodlono, przehulano i przepito, lecz Polskę również i *przegadano.* Szlachcic kochał się nie tylko w talarach, pielgrzymkach, szabli i koniach, kobietach i miodzie, lecz również w ozdobnych, kwiecistych orationes, panegirykach i deklamatorskich dziękczynieniach. Pochodzący od „starożytnych Rzymian" lubował się w manierach i tonie obrońców republiki, zarzucając wiązankami maksym i zjełczałych sentencyj obradujące stany sejmowe. Za nic przeciętny karmazynowy poseł nie wyrzekł by się okazji i prawa do popisu krasomówczego, za nic nie wyrzekł by się czaru frenetycznych oklasków pięknych dam (ach te damy!), porozumiewających się wzrokiem z tokującym wielbicielem. Kitowicz pamiętnikarz, tak o tym powiada: „Bo drugie (kobiety) po całych sesyach prze-

siadują na ganku w Izbie sejmowej, dając znaki posłom i senatorom, swoim konfidentom, przymilaniem ust lub marszczeniem czoła, co im się podoba, a co niepodoba, ażeby w takt z nimi, materye toczące się utrzymywali lub odrzucali. A w „pamiętnikach" Michała Kossakowskiego mamy taki opis nagrody dla dobrych oratorów: „Trzeba było ten czyn patriotyczny wynagrodzić posłom. Ci więc zaproszeni bywali na wieczorną kompanię do księstwa; wchodzącego spotykały panienki z wieńcami i kwiatami ich odbsypywały. Dziś niełatwo kto temu uwierzy, sam jednak na własne oczy to widziałem, śmiało więc pisać mogę".

Nowoczesność wychowania politycznego i potęga ruchu umysłowego, mimo olbrzymich trudności w walce z obskurantyzmem katolickim i rzeczywistością doby pojezuickiej, potrafiła jednak utrącić zbrodnicze liberum veto, trzon socjologii szlacheckiej. Ale na nieszczęście pozostało coś, co było ponurym refleksem, zygzakowatą reperkusją, śmiesznym choć przerażającym bękartem po „wolnej protestacji". Tym coś pleniącym się bujnie w życiu obyczajowo-politycznym, społecznym i towarzyskim, było szkodliwe i bałamutne *liberum loquor*.

Zaciążyło ono fatalnie na płodności i rozmachu prac Sejmu Wielkiego. Rozkosz gadulstwa tylko dla samego gadania, b. często pomijanie milczeniem rzeczowych argumentów, albo zagłuszanie ich napuszoną frazeologią patriotyczną, w której celowali Sapieha i St. Potocki, było treścią i prawdziwym obliczem „liberum loquor". Nieraz tak bywało, że król, marszałek i cała Izba musiała błagać oratora, aby zechciał zaczekać ze swoim wnioskiem i mową zanim jedna sprawa nie dobiegnie pozytywnie do końca.

Z diariuszy Sejmu niesłychanie trudno jest odtworzyć obraz dyskusyj nad jakimkolwiek zagadnieniem, bowiem mówiono b. często na cały szereg tematów zupełnie niezwiązanych ze sobą. Poseł przynosił do sejmu wczoraj wypracowaną mowę i nie myślał wyrzekać się przyjemności wygłoszenia jej na forum, powtarzając najczęściej już raz wypowiedziane przez poprzednika wywody, kręcąc w kółko i dręcząc bezlitośnie swoich wczorajszych dręczycieli. Po tym zachwycony własną deklamacją posyłał jej odpisy domownikom i przyjaciołom z powiatu, z którego pochodził. Doprowadzało to do rozpaczy ludzi, którzy oceniali wartość czasu i pragnęli przeprowadzić najważniejsze ustawy, aby można było je zrealizować póki chwila była dogodna.

Na płynące potoki elokwencji niejednokrotnie starano się oddziaływać choćby nawet tak słabym środkiem, jak upomnienie. Poseł Zakrzewski wyrzucał sejmowi: „gdyby obce potencje na wymowę z nami wojowały, nad każdą bylibyśmy pewni zwycięstwa; lecz skoro tem ich nie pokonamy tylko siłą, próżno czas na obszernych mowach tracimy. Świadkiem będzie dyaryusz kto marnuje czas".

A poseł wołyński Krzycki: „Znużony jestem długiem słuchaniem oracyj, szanując czas, który marnie upływa; czynię ofiarę z dwuarkuszowego głosu mojego, abyśmy przecież przystąpili do jakiejś decyzji".

Bezładna strzelanina oratorska, zresztą częściej na wiwat niż do celu, doprowadziła do tego, że np. dyskusja nad departamentem wojskowym i komisją wojskową trwała 16 godzin bez przerwy, w której wygłoszono przeszło 80 mów, a prorogacja Sejmu wywołała aż 114 wyczynów krasomówczych!!!

Posłowie bez liku składali do laski marszałkowskiej projekty i projekciki, którym towarzyszyła nieodłączna oracja. Do tego doszło, że we wrześniu 1789 r. złożone było aż 300 wniosków, nieraz śmiesznych ze względu na brak w nich poczucia miejsca i czasu, z których zresztą żaden nie był poddany pod deliberację. Nikt nie był pewny, mimo wyznaczonego przez marszałka zagadnienia, co dzień przyniesie i na czym się skończy.

Łatwo więc jest pojąć znaczenie liberum loquor w życiu obyczajowo-politycznym. Najniższy przejaw snobizmu wychowania indywidualnego, jakie ukształtowało psychikę przeciętnego posła-szlachcica znalazł swój klasyczny wyraz właśnie w tej instytucji „swobodnego gadulstwa".

Mówki, móweczki. Protestacyjne, gratulacyjne, kondolencyjne, dziękczynne, patosik bohaterski lub liryczny, pseudouczone wywody, nie wiadomo dokąd prowadzące i po co wydeklamowane, to gama dźwięków, która upajała tokującego karmazynowego głuszca. A głuszec, wiadomo, jak gra to ma oczy i uszy zamknięte. A wtedy trzeba było mieć bystry wzrok i dobrze wyostrzony słuch...

*

Po 150 latach zamkniętej klatki karmazyn na głuszcach mocno poszarzał, tok zmodyfikował się stylistycznie, może nawet stracił nieco na temperamencie i częstości, ale natura głuszca nie zmieniła się wiele. Bogactwo nut frazeologicznych nęci po dawnemu głuszca, urok samoupojenia kusi i popycha do rozkosznego tokowania...

A głuszec jak gra, to ma oczy i uszy zamknięte...

A Państwo Polskie nie leży na księżycu, lecz tak jak i w XVIII w...

A wiek XVIII i socjologia klejnotowej rzeszy nie zakończyła się jeszcze w odrodzonej Polsce...

Czyż palcem trzeba wskazać głupich głuszców i tych, którzy celowo urządzają tokowisko?... (199)

DEMOKRATYZM A DEMOKRACJA

Nie siląc się na ścisłe definicje, zresztą ani możliwe, ani ważne teoretycznie w dziedzinach mało ścisłych, chcielibyśmy wyróżnić w sprawach, objętych przymiotnikiem „demokratyczny", dwa zasadnicze motywy, czy też dwa ich aspekty. Krwawą ilustracją tych spraw, czy też reflektorami oświetlającymi je są dziś walki w Hiszpanii.

O ile przymiotnik „demokratyczny" mieści w sobie oba aspekty, rzeczowniki „demokratyzm" i „demokracja" mogą być użyte każdy w jednym tylko z dwóch znaczeń.

Postaramy się wyjaśnić ten punkt wyjścia w rozważaniach naszych celem więcej sprecyzowanego i jasnego poglądu na walkę toczoną dziś o przymiotnik „demokratyczny".

Pojęcie „demokratyzm" może być używane jako tendencja do wciągnięcia w orbitę „całości społecznej" możliwie największej liczby obywateli danego kraju, natomiast pojęcie „demokracja" może oznaczać dążenie do przejęcia władzy przez „naród", czy „społeczeństwo", bądź bezpośrednio na pewnych odcinkach (samorządy), bądź pośrednio (przez partie) na wyższych szczeblach organizacyjnych (rządzenie państwem).

Naogół te dwa kierunki, zgoła obce sobie pod względem teoretycznym, są stale mieszane w rozważaniach politycznych wszystkich nieomal grup, staczających śmiertelne boje z tej czy z tamtej strony barykady. Wytworzyła się poniekąd psychoza, która wprowadza nawet ludzi skądinąd mało zainteresowanych w tych zapasach do szeregów fanatyków, dążących do zniszczenia całkowitego przeciwników ideowych.

Jedną tylko z form tej walki w dzisiejszych czasach jest antynomia faszyzmu i komunizmu, której nie można uważać tylko jako objaw perfidii polityków zawodowych i szantażowania opinii swojej i obcej przez t. zw. „propagandę", jak to ma miejsce w wielu ugrupowaniach zwanych partiami politycznymi.

Jeśli „armaty naładowane" w pewnej chwili „same" mogą wystrzelić i wywołać wojnę, tym bardziej napięcie psychiczno-neurologiczne „walk ideowych" typu komunizm-faszyzm czy nacjonalizm może b. łatwo przeistoczyć się w „trzydziestoletnią wojnę" religijną.

Powróćmy jednak do naszych spraw, związanych z pojęciami: demokratyzm i demokracja. Obydwa pojęcia są stare i nieraz pojawiały się w dziejach ludzkości, jako tendencje walczące z kierunkami odmiennymi, czy przeciwnymi.

Dla naszych rozważań wystarcza cofnąć się do przełomu wieków XVIII i XIX-go.

Rozważania teoretyczne przygotowały grunt do Wielkiej Rewolucji, która jaskrawo wysunęła „demokrację", nieco zapomniawszy o demokratyzmie. Więcej zwracano uwagi na przejęcie władzy przez „naród", niż na rozszerzenie zasięgu tego „rządzącego narodu" na całą ludność Francji.

Jak wykazały rezultaty tych poczynań rewolucyjnych w w. XIX-ym „naród rządzący" oznaczał stan trzeci, jak uprzednio tym narodem była szlachta i duchowieństwo.

Rozwój kultury w kierunku przemysłowym wytworzył w w. XIX-ym nową najliczniejszą warstwę (proletariat), która znów musiała stoczyć nowe, olbrzymie walki o wciągnięcie jej w orbitę „narodu rządzącego".

Ruchy socjalne, związane z tą walką proletariatu o swoje prawa do „całości społecznej", były w pełnym rozkwicie i bodaj w przededniu triumfu, gdy Wielka Wojna i jej skutki rozszczepiły ostatecznie ten przymiotnik „demokratyczny" na tendencje ku demokratyzmowi i na dawną formę dążenia do demokracji, czyli „narodu rządzącego".

Wielka wojna i przygotowania do wojny następnej, jakie wyznaczają naszym czasom konieczności państwowe i ich nadrzędność nad sprawami grup społecznych i jednostek wykazały konieczność rozszerzenia zasięgu „narodu" na wszystkich obywateli, zdolnych do czynnego udziału w sprawie podniesienia potencjału militarnego państwa. Konieczność powiększenia armii czy jej zaplecza gospodarczo - wytwórczego zmusza dziś do przekształcenia podstaw ustrojowych nawet te państwa, które chciały by zatrzymać ten pęd ciągłych zmian ustrojowych i które z największym przejęciem krzyczą: „trwaj, chwilo, piękna jesteś!".

Otóż tendencja ku demokratyzmowi, czyli objęcie wszystkich obywateli wspólną, całkującą organizacją, to „wyrównanie" obywatelskie (oczywiście nie w uczuciowo-pospolitym znaczeniu, jak to głosi znane hasło naszego zachodniego sąsiada), stanowi podstawę dzisiejszych państw dynamicznych.

W tym znaczeniu stały się państwa dynamiczne prawie ideałem demokratyzmu co do zasięgu ludzkiego. Wręcz przeciwnie ma się sprawa z demokracją, która jest sprowadzona w tych „arcydemokratycznych" państwach dynamicznych nieomal do zera.

Nad tą sprawą, nad niszczeniem „demokracji" w nowych ustrojach państwowych, należy dobrze nałamać sobie głowę, gdyż z nią związane są zasadnicze podstawy organizowania współżycia i współpracy ludzkiej na tłach dynamiki państwowej.

Sama już technika życia gospodarczego, wychowania (patrz o automatyzmie Nr. 9 (14) „Zaczynu"), a szczególnie rządzenia w dziedzinach wyłącznie państwowych, jak armia i polityka zagraniczna, wymaga tak

wielkiego przygotowania pod względem wiedzy i umiejętności użytkowania coraz liczniej wytwarzanych nowych teorii użytkowych, że formuła demokracji o „rządzeniu ogółu“ staje się w naszych czasach dziwolągiem myślowym.

Za czasów państewek-miast greckich, jak Ateny czy Sparta, sprawa ta była b. prosta: ogół uprawnionych obywateli gromadził się i pod wpływem mów zawodowych polityków czy mężów stanu większością głosów ustanawiał prawa, czy wypowiedzenie wojny.

Znamy też takie układy, w których tylko część ludności (szlachta, kler) tworzyły taki „ogół“, decydujący o sprawach państwowych (sejmiki i sejmy w Polsce)...

Lecz organizacje naprawdę państwowe, nawet starożytne, jak Rzym, prędko załatwiały się z takimi rządami ogółu, czy demokracją, gdy potęga i zadania państwa wymagały postanowień i kierownictwa na tak wysokim poziomie, że specjalne przygotowanie i wychowanie stały się nieodzownymi dla tworzenia planów państwowych lub ich wykonywania.

Demokracja powielekroć w dziejach odżywała w takich ośrodkach, które technicznie nadawały się do współudziału w rządach znacznej części obywateli.

A więc do demokracji mniej lub więcej szerokiej dążyły w dobie Odrodzenia republiki-miasta w Italii, lub jeszcze wcześniej miasta handlowe związku Hanzy. Dziś jeszcze — demokracja, oczywiście w formie parlamentarnej, jest zupełnie na miejscu w państwach małych, jak Dania, Szwecja, Norwegia, czy Finlandia, gdzie ogół obywateli jest tak nie duży, że na dobrą sprawę ludzie politycznie zainteresowani mogą znać się nawzajem, i gdzie „opinia“, czy osąd współobywateli naprawdę znaczy wiele. Takie stosunki w państwach większych mogą być zrealizowane tylko na terenach regionalnych i dlatego dobrze pomyślany samorząd terytorialny czy zawodowy mógłby zastosować zasady demokracji, *oczywiście na swoim terenie*.

Natomiast demokracja jest nie do pomyślenia nawet na terenie gospodarczym rozbudowanym na miarę rynku wielko-państwowego, lub międzynarodowego, a cóż dopiero na tłach współczesnego mechanizmu wielko-państwowego.

Nie mówiąc już o wielkim skomplikowaniu aparatu planującego i wykonawczego, sama zmienność „konieczności“ państwowych zmusza do wytworzenia czegoś w rodzaju „sztabu głównego“ nie tylko w sprawach wojska, lecz i we wszystkich innych dziedzinach działalności państwowej.

Chcemy jak najmocniej podkreślić tę rolę, jaką przypisujemy oddzieleniu *teoretycznego* podejścia do spraw państwowych, od ich wykonania, a cóż dopiero od odczuwania emocjonalnego czy osądu działalności państwowej przez ogół obywateli, czy to pojętych jako jednostki, czy choćby jako grupy społeczne, związane interesami czy dążeniami poza państwowymi.

Nawet laicy wiedzą, że sztaby główne pracują w całkowitym odosobnieniu od wszelkich wpływów, bez rozgłosu, więcej: dookoła sztabu głównego panuje strefa milczenia i tajemnicy państwowej, bardzo surowo przestrzegana.

Taka sama atmosfera panuje nawet w państwach liberalnych (Anglia, Francja) dookoła „doktryny“ państwowej, czyli najważniejszych postanowień i planów państwa. Parlament a nawet giełda w tych wyrobionych politycznie krajach bez słowa sprzeciwu podporządkowują się w chwilach najważniejszych decyzjom, powziętym przez te tajne, nie znane ogółowi, centra myśli i woli państwowej

Takim tajemniczym najwyższym sztabem głównym w Japonii jest „rada starców“, którzy ostatecznie opiniują i decydują w chwilach przełomowych dla państwa.

Czy wobec tego można na serio mówić o demokracji, rządzeniu ogółu? Czy to czasem nie upór pewnych grup inteligenckich, które nie mogą wyzbyć się pewnych teorii z czasów ich młodości „górnej i chmurnej“?!

Naprawdę walka o demokrację często trąci romantyzmem, donkiszoterią, o ile nie względami personalno-partyjnymi.

Po tych rozważaniach można zaryzykować pewne wnioski w sprawie najwięcej nas obchodzącej, a mianowicie o wartości demokratyzmu i demokracji dla państwa polskiego.

Otóż „koniecznością“ państwową dla nas jest wciągnięcie wszystkich obywateli w orbitę „działań politycznych“, rozumianych jako współudział w „podciąganiu Polski wzwyż“. Jednocześnie braki wychowania politycznego u nas, wymagają jak najszybszego i jak najintensywniejszego wytworzenia *nowej* warstwy twórczej, zdolnej do pracy na stanowiskach kierowniczych; dobór pierwszych kadr do czasu wytworzenia takiej warstwy wymaga wysondowania i wydobycia na wierzch uzdolnień z pośród najszerszego zasięgu obywateli.

Tutaj demokratyzm winien święcić pełny triumf.

Natomiast konieczności państwowe, wynikające z tempa państwowego naszych sąsiadów, wymagają traktowania spraw państwowych na najwyższym poziomie wiedzy i uzdolnień. To zaś przekreśla możność współudziału w rządzeniu czy planowaniu państwowym większości obywateli, raz dlatego, że ta większość nie posiada dostatecznego przygotowania ani uzdolnienia, po wtóre, że kierownictwo państwowe wymaga całkowitego oddania się jednostki tym sprawom, po trzecie, że plany państwowe, a nawet po części ich wykonanie muszą być otoczone **tajemnicą**.

Atmosfera tajemnicy jest niezbędna raz dla ukrycia przed obcymi, drugi raz przed swoimi, by rozmaite grupy zainteresowane swymi posunięciami nie utrudniały, bądź nawet nie umożliwiały zrealizowania zamierzeń i akcji państwowych.

Wszyscy tedy powołani! lecz tylko wybrani są przeznaczeni do ról specjalnych, wymagających takiej odpowiedzialności, a więc i umiejętności, że pozostali nie mogą mieć żadnego żalu za wybór, chyba że ten wybór dokonywany był by w imię innych względów, niż państwowe.

Niestety, w Polsce jest jeszcze tyle do odrobienia w tej dziedzinie.

Pokolenie nasze, myślimy tutaj o inteligencji, ma tak wielkie pod tym względem obowiązki i zaniedbania, że państwowcy mogą śmiało odrzucić ich „krytyki“.

Zamiast krytykowania, ach, jakże łatwego! naszej rzeczywistości inteligencja winna oddać cały swój wysiłek umysłowy na sprostanie potrzebom teoretycznej myśli państwowej. Wtedy dopiero będzie miała prawo upominać się o prawa jednostek, o demokratyzm, a nawet należną jej część w demokracji, czyli o udział w rządzeniu i stanowieniu o państwie.

Trzeba do tego dojrzeć. Tego nie daje się na wiarę. (111).

DOKTRYNA A TEORIA

Rozpowszechniła się dziś ogromnie — już nie tylko w kołach bardziej lub mniej marksistowskich — teza o zależności ukształtowania się ustrojów politycznych od aktualnej rzeczywistości społecznej, w szczególności — gospodarczej.

Można by tu przytoczyć wiele rozmaitych sformułowań tej tezy. Nie wydaje się to jednak koniecznym. Zadowolę się przeto jednym tylko przykładem. Oto znany teoretyk prawa Hans Kelsen, ostatnio profesor niemieckiego uniwersytetu w Pradze, powiada w swej rozprawie *Dyktatura partii* (tłum. pol. w *Ruchu prawniczym, ekonomicznym i socjologicznym*, zeszyt I. z 1936.): „...demokracja utrzymać się może tylko w okresie rozwiniętego kapitalizmu, dostatecznie zaspakajającego gospodarcze potrzeby nieposiadających. Odpowiada ona systemowi kapitalistycznemu w okresie jego rozkwitu. Okres wczesnego kapitalizmu, stojącego jeszcze w walce z feudalizmem, tkwiącego dopiero w swych technicznych początkach, jak i okres rozpadającego się kapitalizmu, znaczony ciężkimi wstrząśnieniami równowagi społecznej, stoi pod znakiem autokratycznych form państwowych. Jak jednemu odpowiada monarchia absolutna, tak drugiemu dyktatura partyjna“ (Str. 12, podkr. moje).

Nie idzie nam tu o zasadność całości tych wywodów. Stwierdźmy tylko, iż mowa tu o odpowiedniości, powiedzmy wyraźniej — i chyba nie wbrew intencjom autora — o wyznaczaniu (w pewnym sensie) ustroju politycznego przez stosunki gospodarcze. Temat — bardzo banalny: gospodarka a polityka. Na jego opracowanie zniszczono już dużo — bardzo dużo — papieru i farby drukarskiej. Głównie dlatego, że dyskusję prowadzono zwykle w tak ogólnikowych ramach, terminami tak dalece niespecyzowanymi, że rezultat — nijaki był z góry przesądzony.

O samej tezie na wstępie sformułowanej trudno — oczywista — powiedzieć, czy jest prawdziwa, czy fałszywa. Ostatecznie jest to nic więcej, — ale też i nie... mniej, — niż ogólnik, który w zastosowaniu do pewnego zbioru wypadków może się okazać słuszny, — do innego: — nie. Mówiąc bowiem o zależności ukształtowania się ustrojów politycznych od aktualnej rzeczywistości społecznej, zwykle nie mówi się nic o tym, jaka to zależność, tak, jakby to była rzecz, która nie wymaga bliższych wyjaśnień. A przecież zależność może być kalejdoskopowo rozmaita. Prosta lub odwrotna, bezpośrednia lub pośrednia i t. d., i t. d.

Rzeczywistość społeczna (niektórzy mówią tylko: gospodarcza) nie wciela się wszak w układ prawa ustrojowego, jak płynne żelazo w formy sztab, łańcuchów, obręczy i t. p.

(Ze wszech miar wskazane wydaje się ścisłe odróżnianie układu prawa ustrojowego w państwach prawa pisanego od faktycznych stosunków ustrojowych).

Najpierw muszą się ukształtować poglądy na tę rzeczywistość, a więc zarówno na jej stan aktualny, jak — pożądany. Będą to teorie społeczne lub — znacznie częściej doktryny.

One to dopiero wywierają bezpośredni — ale nie wyłączny — wpływ na ukształtowanie układu prawa ustrojowego Mgła bowiem doktrynalna unosi się nad ustawodawcą ustrojowym nawet wówczas, kiedy nie stawia sobie jako wyraźnego zadania — transponowania danej doktryny lub jakiegoś ich — bardziej lub mniej uświadomionego — konglomeratu na układ prawa ustrojowego.

Problem zatym sprowadza się w pierwszym rzędzie do kwestii takich a nie innych poglądów społecznych.

Jeśli się z tym zgodzimy, to musimy mieć

przede wszystkim na uwadze to, iż te same warunki społeczne budzić mogą wprost przeciwne nieraz — a w każdym razie odmienne — poglądy na nie, jak i dążenia realizatorsko-ustrojowe. Nie docenia się w tym związku tej niezmiernie doniosłej okoliczności, iż niezależnie w znacznej mierze od tego, jaka jest rzeczywistość społeczna, wachlarz poglądów na nią rozwinąć się może wcale obszernie.

Skoro tedy mówimy o wpływie rzeczywistości społecznej na poglądy o niej, to zasadnie — to tylko można mieć na myśli, iż nie mamy tu bynajmniej jednoznacznego wyznaczania, lecz pewną jego skalę: od stanowiska w zupełności czy w zasadzie jedynie aprobującego do całkowicie negującego.

Zależność więc wyrażała by się tu w tym, że skala ta pozostawałaby w pewnym czasem nawet niezbyt ścisłym związku z aktualnym stanem rzeczywistości społecznej.

Poglądy społeczne wyznacza jednak — jako najważniejszy współczynnik — postawa, jaką zajmuje dana jednostka wobec rzeczywistości społecznej. Wypadnie to zagadnienie osobno szczegółowo rozpatrzyć. Teraz zwróćmy tylko na to uwagę, że zgoła inna jest postawa badacza, niż działacza, a inna ideologa, niż realizatora pewnych konstrukcyj teoretycznych. Te — abstrakcyjnie tu wyróżnione — postawy w rzeczywistości występują przeważnie w tak skrzepłych i pozornie jednolitych kombinacjach, iż trudno w nich nieraz wyodrębnić ich poszczególne elementy.

Jeśli idzie o postawy, to nie podobna tu lekceważyć zwłaszcza prężności fantazji. Uniezależnia się ona w swych lotach — nieraz w znacznym stopniu — od t. zw. wymowy faktów. Niejednokrotnie przechodzi wyobraźnia wprost nad nimi do porządku. Najbardziej znanym tego przykładem są dowolne pomysły Hegla. Gdy mu zwrócono uwagę na sprzeczność jego koncepcyj z rzeczywistością, z życiem, miał — jak wiadomo — powiedzieć: — „Tym gorzej dla rzeczywistości". Oczywista, mamy tu na myśli koncepcje poznawcze, a nie realizatorskie, dla których kryterium zgodności z rzeczywistością — poza wypadkami dążeń do osiągnięcia niemożliwości — nie jest miarodajne. Takie „fantastyczne" poglądy — niezależnie od swej wartości poznawczej czy innej (np. estetycznej) — mogą być nieraz przyczyną współsprawczą znacznych nawet przemian społecznych.

Postawę natomiast naukową wyznacza nie tylko dobra wola i dążenie do obiektywizmu, ale i odpowiednie kwalifikacje intelektualne, w tym i wyobraźnia twórcza. Bezdroża zaś, którymi biegnie fantazja demagogów — zwykle w zaprzęgu interesów jednostki czy ciasno-grupowych — są wcale odległe od szlaków, o których wytyczeniu zadecydował wzgląd na możliwie beznamiętny i obiektywny obraz, a raczej: ujęcie poznawcze, rzeczywistości społecznej. Rzecz cała w tym, by wyobraźnia nigdy nie przekraczała ram rzetelności i odpowiedzialności myślenia, dla której zaporą nieprzebytą w koncepcjach realizatorskich jest wspomniana niemożliwość osiągnięcia postawionych zadań.

W tym punkcie zarysowuje się — jak się zdaje — dość wyraźnie i plastycznie różnica między doktryną a teorią.

Różnica zresztą — nie jedyna. Odmienności bowiem wynikają nie tylko z postawy twórców, ale też i z przeznaczenia zasadniczo różnego doktryny a teorii.

Warunki powstawania ideologii politycznych współokreślają ich strukturę i zawartość. Zadania doktryny są przede wszystkim agitacyjno-propagandowe. Ma ona skupić przy pewnych postulatach możliwie jak najwięcej ludzi. Wszystkie środki, które prowadzą do urzeczywistnienia tego celu — są dobre. „Chcę tego a tego, więc mówię (ściślej — wykrzykuję) to a to, bez względu na to, czy to jest możliwe do osiągnięcia" — oto postawa doktrynalna, dla której charakterystyczna jest przewaga elementu postulatowego nad realistycznym. Kryterium prawdy, a nawet sensowności, nie jest stosowane w zakresie doktryn politycznych, ich sprawdzianem — z samego założenia — jest efekt propagandowo-praktyczny.

Takie czy inne sentymenty i resentymenty kształtują w głównym stopniu doktrynę, ma ona też pobudzać przede wszystkim emocje społeczeństwa. (Por. art. *Sentymenty a rozumowanie*, Nr. 7 (12) „Zaczynu"). Stąd posługuje się wszystkim, tylko nie ścisłym rozumowaniem. Doktryna korzysta obficie z frazesów, fikcyj, przenośni, obrazowego przedstawienia, mitów, przesądów, haseł, rozkazników (np. „precz z...!"). Na treść zatem ideologii politycznych w najmniejszej mierze składają się zdania oznajmujące, a tym bardziej prawdziwe, przeważnie natomiast oceny emocjonalne, normy, zawołania, postulaty, no — i fałsze i nonsensy..

Niewątpliwie, integralną częścią doktryn politycznych jest spora porcja niedorzeczności. Nierzadko same założenia doktryny — o ile są wydobyte — to tezy fałszywe.

Dlatego nie wydaje się trafnym mówienie o doktrynie jako o syntezie przekonaniowej — jak to czyni jeden z polskich autorów, — bo doktryna jest nie systematyczna i pełna sprzeczności *ex definitione*. Doktryna jako całość jest zlepkiem, w którym nie obowiązuje ani zasada konsekwencji, ani też pełnego rozwinięcia myśli. Mamy tu do czynienia raczej z jej odpryskami, szkicowym rzutem, na tle barwnym i emocjonującym, niż z logicznie rozbudowaną konstrukcją. Znaczną właśnie wartość propagandową, sugestywną mają hasła mętne, mgliste i nieokreślone. Ściele się piękne pole dla nieodpowiedzialnych rojeń i fantastycznych mrzonek. Rozwija się interpretacja, dokomponowywanie i możność licznych wariacyj...

Analiza całokształtu jakiejś doktryny wymagała by obszernego tomu. Tu można rozpatrzyć przykładowo tylko jeden jakiś fragment. Będzie on może nie najjaskrawszy, ale dostatecznie wyrazisty, i charakterystyczny.

Mam na myśli znane hasło: „Wszyscy ludzie są równi".

Nie mówi się tu nic o tym, pod jakim względem, czy pod każdym, czy też pod pewnym, — określonym. Jest to przykład t. zw. eliptycznego sposobu wypowiadania się [1]). Niewyczerpujące sformułowanie powoduje nieporozumienia. Skoro bowiem zdanie: „Wszyscy ludzie są równi" uzupełni się(a): „... pod każdym względem", a więc fizycznym, psychicznym, intelektualnym, to otrzymamy oczywisty fałsz. Zdanie to ma niejednokrotnie — w myśl intencyj piszącego czy mówiącego — być równoważne (b) postulatowi: „wszyscy winni być równi wobec prawa". Tak jak słynna *Deklaracja praw człowieka i obywatela* z 1791 r., która odegrała tak doniosłą rolę w konstytucjonalizmie XIX i XX w. głosiła w art. 1.: „Les hommes naissent et demeurent libres et égaux en droit". Bardzo słuszne uwagi na marginesie tego poczynił James Bryce, znakomity empiryk, autor *Modern Democracies* (przekład na franc., niem., i in. języki). Powiada Bryce: „... mimo, że równość naturalna triumfowała jako doktryna, natural na nierówność pozostała — faktem. Dla zwolenników doktryny była jednak ta nierówność faktem niepożądanym, który próbowano ignorować lub wagę jego umniejszać, bo nie można było zaprzeczać z powodu oczywistości tej nierówności. A skoro raz rozstrzygnięto, że każdy zasługuje na to, by mieć prawo głosowania, argumentowano skolei, że tak jak każdy jest zdolny do głosowania nad polityką (drugich), podobnie musi się też być zdolnym do „prowadzenia" polityki (podkr. moje).

Od postulatu wreszcie musi się odróżnić (c) stwierdzenie, iż faktycznie na podstawie sprawdzenia wyników praktyki sądów władz państwowych w danym okresie — „wszyscy są (byli) równi wobec prawa".

Doktryna jednak nie rozróżnia poszczególnych (a—c) znaczeń i miesza je bezceremonialnie.

Doktryna — jak zresztą już z poprzednich wywodów o „skali poglądów" wynika — wyrasta najczęściej bądź jako reakcja wobec danej rzeczywistości społecznej (wchodzą tu i poglądy na nią), bądź jako apologia istniejącego ustroju. W każdym razie charakterystyczna dla doktryny politycznej jest wybitna jednostronność wprost przeciwnie, niż dla teorii z jej dążeniem do obiektywizmu, beznamiętnego i niestronnego ujmowania zagadnień i stawiania konstrukcyj.

To też doktryna lekceważy fakty, a karmi się „literaturą". Na ideologiach politycznych ciąży poważnie balast „autorytetowych" wypowiedzi (Marxa czy Lenina w bolszewiźmie, Hitlera czy Rosenberga w narodowym socjaliźmie). Doktryna — mimo czasami skromną zawartość, zgodną z nauką, — w całości jest czymś pozanaukowym z pretensjami do naukowości. W rzeczywistości jasno i wyraźnie niepodobna rozumieć doktryny, można w nią tylko — z zastrzeżeniami lub bez — wierzyć. To też przez swój dogmatyzm doktryna bardziej zbliża się do systemu religijnego, niż do teorii. Rozstrzygającym dla ideologii momentem jest nie tyle to, co się mówi, lecz kto dane treści głosi (pogłos wiary w teologiczne objawienie).

Próbowaliśmy tu wydobyć rysy charakterystyczne doktryny przez zestawienie jej z teorią na wspólnym tle porównawczym. W ten sposób aczkolwiek pośrednio — i o niej to i owo już się powiedziało.

Oczywista mieliśmy tu stale na myśli teorię społeczną; teoria przyrodnicza, fizykalna czy biologiczna, wyryła sobie wyraźne kontury, które ją wyodrębniają, odgraniczają od wszystkiego, co jest niedorzecznością czy nieodpowiedzialną fantazją. Na terenie nauk społecznych sprawa jeszcze nie stoi tak dobrze, już choćby z powodu trudności, jakie wywołuje sama struktura przedmiotu badania.

Jeden z wybitnych fizyków powiedział, że „przyrządy (instrumenty) są stężałymi teoriami (gefrorene Theorien). Myśl to bardzo wnikliwa. Zasięg jej stosowalności wykracza znacznie poza dziedzinę fizyki. Przyrządem socjologa jest konstrukcja, którą operuje, by możliwie najprecyzyjniej zorientować się w bezmiarze faktów i ich skrzepach. Bez tych schematów, które są szczegółowymi krystalizacjami danej teorii, zgubiłby się badacz w niesłychanym wirze, kłębowisku zdarzeń.

Postęp w tej dziedzinie utorować może jedynie śmiała, świeża i nieskrępowana myśl teoretyczno-konstrukcyjna. Nigdy zaś pół-środki; poprawki i „łatki" starych szablonów. Ich szacowny wiek — a tak jest z reguły, że jest on wcale podeszły — powoduje, iż schematy te są często-gęsto mocno spróchniałe.

Słusznie też powiada prof. Leon Chwistek (*Granice nauki*, str. 22): „Istotą postępu w nauce, sztuce i w życiu jest konstruowanie nowych systemów myślowych, nowych aparatów, nowych kryteriów piękna i nowych form życia".

Idzie tu wszak o ciągle subtelniejszy układ konstrukcyjny, który by pozwalał coraz bardziej precyzyjnie i dogłębnie wedrzeć się w miazgę życia społecznego, i ułatwiał by zarówno jego poznanie, jak i — co poniekąd za tym idzie, choć w pewnej mierze jest sferą odrębną — możliwość plastycznego kształtowania.

[1]) Zagadnieniem tym zajął się prof. Kazimierz Twardowski w pięknej rozprawie „O t. zw. prawdach względnych". (Biblioteka Filozoficzna, nr. 3, Lwów 1934, Książnica Atlas).

Zrozumienie operatywnego znaczenia konstrukcyj teoretycznych jest niezmiernie doniosłe i — dość rzadkie. Na to ostatnie wpływa ustawiczne plątanie dwóch zgoła odrębnych płaszczyzn: zagadnienia prawdy i fałszu z twórczą rolą konstrukcyj, ich pionierstwem i przydatnością realizacyjną.

Można to zilustrować na przykładzie fikcyj. Fikcja jest świadomie przyjętym zdaniem (lub układem zdań) fałszywym. Nie mogąc sobie w inny sposób wytłumaczyć szeregu faktów, posługujemy się taką „hipotezą roboczą", o której wprawdzie wiemy, że jest fałszywa, ale nie umiemy znaleźć lepszej, która by objęła ogół faktów, bądź też miała równe zalety odkrywcze. To zadanie fikcji — to jej racja bytu. Tą rolą stoi — i nią pada. Zawsze istotny dla fikcji — jest ten moment: prowizorium — póki nie znajdziemy lepszej hipotezy. Skoro można znaleźć jaśniejszą i prostszą, a przede wszystkim nie sprzeczną z rzeczywistością, wówczas posługiwanie się fikcją, jest już jedynie — nonsensem. Niestety — wcale nie tak rzadko spotykanym.

Szczególnie w naukach humanistycznych, a zwłaszcza „politycznych", zdarza się bardzo często, iż tnie się zagadnienia bardzo skomplikowane i subtelne — kozikiem. Wtedy, kiedy można mieć do dyspozycji — skalpel.

Zagadnienia, związane z ścisłością i możliwą elastycznością konstrukcji na terenie myśli państwowej, *Zaczyn* poruszał już niejednokrotnie. Por. takie artykuły, jak *„Rzeczywistość" i eksperyment*, nr. 3., *Teoria i praktyka*, nr. 1 (6). *Przekonywanie i argumentacja*, nr. 3(8), *Przekazywanie teorii i jej użytkowanie*, nr. 5(10). Odsyłając do nich, pragniemy tu przytoczyć te równie słuszne i ważkie, jak niedoceniane — niestety — u nas stwierdzenia (w myśl Empedoklesa — co warto powiedzieć raz, to warto też — i dwa razy):

„..w dziedzinie ścisłej wiedzy „praktyk" rozumie wartość „teoretyka" i otacza go największym szacunkiem. Im mniej taki teoretyk nadaje się do bezpośredniego brania udziału w rozwiązywaniu zagadnień aktualnych w technice, tym wyżej cenią go technicy-praktycy, i teoria, im dalsza od zdawkowej użyteczności, tym jest wyższego rzędu, — tym większe mieści zmiany w technice, zapowiada „rewolucję techniczną" tak miłą sercu twórczych praktyków"...

„..Nie uczyliśmy się poważnie, nie nauczyliśmy się szanować teoretyków i użytkować teorii. Dziś zmuszeni do gwałtownych przestawień państwowych konstrukcji, musimy przede wszystkim przejść przez rewolucję duchową, która wreszcie zmusi sfery inteligenckie w Polsce do poważnego, teoretycznego traktowania spraw, w pierwszym rzędzie państwowych.

Wtedy nie będzie dyletantów udających praktyków...

Wtedy dopiero okaże się cała waga i niezbędność studiów w dziedzinach o małej ścisłości metodologicznej, lecz olbrzymiego znaczenia państwowego".

(119.)

SABOTAŻ

Wielkie zmiany ustrojowe, gospodarcze, wychowawcze i t. p., które zostały wprowadzone przez państwa dynamiczne, nie ominęły oczywiście i sądownictwa.

Okres ograniczenia b. dotkliwego „wolności" gospodarczej, grupowo-społecznej i jednostkowej, zapoczątkowany niby czasowo podczas wielkiej wojny, został w tych państwach zamknięty przekreśleniem podstaw, na których rozwijało się przedwojenne życie osobiste i grupowe. Nie tylko nie przywrócono w nich dawnych „swobód", zresztą bardzo względnych, lecz przekreślono samą zasadę liberalizmu.

Oczywiście tym samym musiano zmienić podstawy sądownictwa, zarówno w dziedzinie prawa cywilnego, jak i karnego. Pomińmy tutaj Rosję, gdyż przekreślenie tam prawa własności w stosunku do warsztatów wytwórczych unicestwiło w ogóle potrzebę prawa cywilnego w zwykłym tego słowa znaczeniu.

Lecz i we Włoszech, i w Niemczech ograniczono tak dalece prawa własności w stosunku do warsztatów pracy, że właściciel jak i robotnik znaleźli się w nowych zgoła warunkach.

Właściciel został ograniczony nie tylko w prawach do zysku (w Niemczech — nie wyżej 6% od włożonego kapitału), lecz i w wyborze systemu prowadzenia warsztatów wytwórczych.

Rolnik musi się stosować do planu aprowizacyjnego, przemysłowiec do planu gospodarczego.

Robotnicy zostali pozbawieni możności indywidualnej i zbiorowej walki o podniesienie poziomu swego „dobrobytu".

Państwo nie tylko reguluje wszelkie spory, lecz i nadaje ton i kierunek pracy we wszelkich warsztatach. Właściwym gospodarzem w państwach dynamicznych staje się coraz więcej państwo i przepaść, która dzieliła Rosję od reszty świata, zaczyna się zmniejszać w miarę coraz silniej ujawnianej tendencji do totalizmu gospodarczego.

Jeśli w prawie cywilnym wpływy tych radykalnych zmian ustrojowych przejawiają się możliwie stopniowo, bez gwałtownych na ogół wstrząsów, w prawie karnym nastąpił gwałtowny, rewolucyjny skok ku nowym układom, nieznanym, ba wprost nie do pojęcia w państwach typu liberalnego. Mówimy tutaj o odpowiedzialności za t. zw. sabotaż, czyli za szkodzenie państwu w sposób, nie przewidziany w żadnym z paragrafów Kodeksu Karnego. Takie postawienie sprawy przekreśla dotychczasowe pojmowanie winy i kary w sądownictwie.

Dotychczas sądownictwo opiera się na niewzruszonej podstawie, że sąd dla wydania wyroku skazującego, musi mieć jasny, nie dwuznaczny dowód winy. Nie wystarcza stwierdzenie szkodliwości danej jednostki, i ujemnych skutków jej działalności w sprawach publicznych.

Żadne straty czy krzywdy, wyrządzone państwu, społeczeństwu, czy jednostkom, nie mogły powodować wyroku osądzającego, o ile nie dowiedziono delikwentowi czynu, uważanego za przestępstwo w rozumieniu Kodeksu Karnego.

Powiedzmy, przedsiębiorstwo państwowe czy samorządowe, nie mówiąc o prywatnych, nie może pozbyć się bez odszkodowania dyrektora, który swoją działalnością rujnuje dane przedsiębiorstwo, o ile nie może udowodnić mu aktu kradzieży, jawnie złej woli, czy krzyczącej niedbałości.

Nieudolność, brak zainteresowania, partactwo, a szczególnie przyjęcie na siebie roli kierowniczej bez żadnej kwalifikacji fachowej, organizatorskiej czy nawet moralnej *legalnie* pozostały bezkarne.

Te choroby biurokracji nie tylko niszczą znaczny odsetek wysiłków ludzkich, lecz często uniemożliwiają wprost wszelki postęp gospodarczy.

T. zw. sfery gospodarcze na tych chorobach biurokracji opierają swój sens istnienia i ze swej strony „pomagają" w odpowiedni sposób takim dygnitarzom z pod ciemnej gwiazdy, aby wykazać niezbędność „prywatnej inicjatywy".

Otóż pojęcie sabotażu usuwa konieczność ciągłej nowelizacji, czyli wprowadzania nowych artykułów z nowymi typami „przestępstw" karalnych; daje ono skuteczny, lecz jednocześnie *straszny* oręż państwu w walce z tymi, którzy stanowiska kierownicze w służbie państwowej uważają za doskonałą przystań życiową, pozwalającą na żywot beztroski i nieodpowiedzialny.

Koszta „działalności" tych miernot, nicponiów, nierobów, zrzeszonych często w „towarzystwach wzajemnej adoracji" pokrywa oczywiście państwo, a zatym i całe społeczeństwo.

Nie tylko koszty utrzymania tych pasożytów są uciążliwe, więcej, ci dygnitarze uniemożliwiają rozwój państwa, gdyż wymaga on wysiłków twórczych, decyzji, odpowiedzialności. — To wszystko zaś wywołuje niepokój, niepewność jutra i możliwość znalezienia się pod wozem lub za wozem.

A dzisiejszy system sądownictwa zapewnia jedno: jeśli nic nie będziesz robił, włos z głowy ci nie spadnie.

Ten straszny oręż w postaci odpowiedzialności za sabotaż, a więc i za nieróbstwo, nieudolność i brak decyzji — ma oczywiście i swoją b. złą stronę: nieokreśloność samej zasady, a więc i niebezpieczeństwo wszelakich nadużyć.

Ale czy ogień nie jest niebezpieczny w rękach dzieci, głupców czy zbrodniarzy? A czy broń palna nie jest używana przez przestępców dla dokonania zbrodni?

A wiedza? A wynalazki? Czy zawsze są używane dla dobra ludzkości i jednostek?

Nie będziemy jednak nadużywać komunałów, w rodzaju tych, że należy „dobierać ludzi dobrej woli" i t. p. Zróbmy lepiej uczciwy bilans za i przeciw, zastanówmy się, czy w naszych warunkach mamy naprawdę wolny wybór?

Nasza sytuacja polityczno-państwowa wymaga dziś wielkiego zrywu, przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej, celem zrównania naszego potencjału militarnego z potencjałem sąsiadów. Zryw ten będzie wymagał wielkiej liczby nowych funkcyj państwowych, pracy twórczej, decyzyj śmiałych, a przede wszystkim wielkiej odpowiedzialności kierowników i organizatorów za umiejętne realizowanie nowych, wielkich planów państwowych.

Wszelkie ociąganie się, pasożytnictwo, czy brak kwalifikacji kierowników odbić się musi wprost fatalnie na pracy w dobie wielkich czynów.

Wiele nowych poczynań może się udać tylko przy śmiałym, entuzjastycznym rzucaniu się naprzód, gdy ślamazarne, powolne, „ostrożne" posuwanie się krok za krokiem, może przynieść więcej szkody, niż pożytku.

W takim okresie wielkich przeobrażeń szkodliwość nieuków, nierobów i wygodnisiów, nie mówiąc już o elemencie przekupnym staje się tak wielką, że i przeciw-

działanie musi być odpowiednio silne, zdecydowane i bardzo szybkie.

Zwykłe orzecznictwo sądowe tak co do swych założeń, jak i tempa nie nadaje się w takich czasach. To też państwa dynamiczne w związku z odpowiedzialnością za sabotaż wprowadziły i inny szybszy sposób postępowania wobec funkcjonariuszy, którzy działalnością swoją, choćby bez złej woli, niszczą i uniemożliwiają wielkie „podciągnięcie wzwyż".

Sprawa ta w Polsce nie tylko dojrzała, ale staje się paląca. Niech nikt się nie łudzi ani na chwilę, że mała u nas liczba procesów, wytaczanych urzędnikom, szczególnie na wyższych stanowiskach, dowodzi tego, że jest u nas lepiej niż u sąsiadów. Przeciwnie — jest to jeszcze jeden dowód, że należy zmienić podstawy i sposób traktowania szkodliwej działalności funkcjonariuszy państwowych.

Walka z sabotażem, jak rozumieją ją w państwach dynamicznych, wykazała by dopiero, jak dalecy jesteśmy od „ideału", i jak konieczną jest ona w chwilach wielkiego zrywu ku podniesieniu naszej mocy państwowej.

Nie zwlekając tedy, należy jak najszybciej przystąpić do opracowania specjalnego Kodeksu Karnego za przestępstwa służbowe z uwzględnieniem pojęcia sabotażu i konieczności szybkiego usuwania niewłaściwych kierowników w pracy państwowej.

Krzywdy, może bardzo dotkliwe, które nieraz niesprawiedliwie spadną na poszczególne jednostki, nie mogą powstrzymać wprowadzenia **środka**, jedynie umożliwiającego dziś znośne funkcjonowanie aparatury biurokratycznej.

W przyszłości, gdy wychowanie będzie całkowicie i wyłącznie w rękach państwa, i nowe pokolenia przejdą przez konieczne etapy wstępne przed objęciem stanowisk kierowniczych, będzie można pomyśleć o nowym okresie liberalizmu i wyrozumiałości wobec grzechów i błędów... biurokracji (lecz nie sabotażu!). (17)

NIEWESOŁY PRZEKRÓJ

Na łamach „Zaczynu" niejednokrotnie już podnoszono znaczenie dzisiejszej roli państwa dla rozwoju sztuki. Największa impreza tegoroczna Salon Malarstwa Polskiego w IPS-ie jest właśnie najwymowniejszym przykładem sztuki, której wytwórcy znajdują się poza obrębem zainteresowań państwa. Wymowę zjawiska podkreśla jeszcze to, że omawiany Salon nie jest właściwie salonem, będąc raczej wystawą reprezentacyjną, której każdy obraz został wybrany przez naczelnego komisarza wystawy w porozumieniu z upatrzonym artystą, zaś lista artystów układała się skrupulatnie według tajemnego klucza ipsowych kacyków.

Było to więc pewnego rodzaju posunięcie typu dyktatorskiego, przełamujące dotychczasowy demokratyzm salonów. „Rewolucji" tej, jak się okazało, nie przyświecała jednak jakakolwiek zdecydowana myśl kierownicza (do tej biurokratyzującej się gwałtownie I. P. S. okazał się niezdolny), zaś decydującym momentem organizacyjnym stała zwyczajna lękliwa chęć nieobrażenia któregokolwiek z artystów, zmuszających dla tych lub innych powodów do liczenia się ze sobą. W rezultacie ta, jak ją ktoś określił „bezkrwawa i bezpłciowa rewolucja faszystowska" nikogo nie zadowoliła — ani widzów, ani artystów, ani samych organizatorów... A dla nas, państwowców, przekrój malarstwa polskiego reprezentowany na salonie przedstawia się nie wesoło.

W części wystawy, którą większość krytyków uważa za lepszą, za bardziej „malarską", czyli starającej się nie wykraczać poza ustalone już reguły gry t. zw. Ecole de Paris, artyści nadal żyją w atmosferze pojęć, jaką widzimy na obecnej wystawie retrospektywnej malarstwa francuskiego w Muzeum Narodowym. Artyści są zadowoleni z siebie, pewni swych chwytów zalegalizowanych już przez historię, i nic ich nie obchodzą sprawy dnia dzisiejszego. Są to antykwariusze, hodujący wytrwałą i idealistyczną wiarę w statyczność przedwojennego mieszczańskiego światopoglądu zamożnej Francji.

Tragiczniej przedstawia się druga połowa salonu, której wystawcy starają się związać szkołę z życiem, z wykluwającą się z nakazów współczesności ideologią, której właściwie muszą być współtwórcami. O ile jednak eksperymenty formalne mogą być prowadzone w izolowanych pracowniach, to twórczy wysiłek ideologiczny musi odbijać się żywym echem wśród współczesnych, znajdując w tym moralną podnietę i sens swej pracy. Głośne światowe „izmy" futuryzm, kubizm, surrealizm — rozwijały się w okresie wyjątkowego wprost towarzyskiego i handlowego zainteresowania się sztuką, a więc przy niezwykle sprzyjającej koniunkturze materialnej i duchowej.

Dziś tego typu przesłanki ekonomiczno-społeczne należą do przeszłości. Natomiast kraje, prowadzące planową pracę wychowawczą swych obywateli, ogarnęły sztukę skrzydłem planu państwowego, dając artystom bodziec do pracy i stawiając przed nimi najogólniejsze ramowe idee państwowe, na których tle powstał nowy obieg krwi, idei i koncepcji plastycznych.

Dotychczasowy brak podobnie planowych zamierzeń w naszym państwie usunął jedyną naturalną w czasach obecnych podstawę pracy artystów. To też obrazy na Salonie tych artystów, którzy usiłują znaleźć nowe typy rozwiązań konstrukcyjnych, odnaleźć nowoczesną dynamikę form, którzy zmagają się z problematami współczesnej tematyki — portretu, obrazu sportowego lub o treści społecznej — wywołują wrażenie jakiegoś na ślepo prowadzonego treningu w przeczuciu mającego nastąpić startu do wielkich społecznych celów, spowitych jednak mgłą i bliżej zupełnie nieokreślonych. Mimo to wytrwałość artystów podtrzymują mnożące się pogłoski o dojrzewającej życiowo konieczności chwili, gdy będziemy widzieli malarzy przy pracy na boiskach, w ośrodkach przemysłowych, na morzu, w wojsku, w laboratoriach naukowych, przy wszystkich elementach rozwoju potęgi państwa, gdy w zespołowym trudzie narodzi się prawdziwy wyraz polskiej współczesnej plastyki.

Czynniki państwowe dotychczas tylko biernie przyglądały się nie skoordynowanym wysiłkom artystów, — więc się nie dziwmy, że ipsowy „przekrój" malarstwa polskiego robi wrażenie domeny sobiepaństwa i czegoś głęboko niepotrzebnego, czegoś jednak, co już jutro może się stać jedną z najaktywniejszych pomocy przy wykuwaniu przyszłości. Warto się nad tym poważnie zastanowić. (148).

PALCEM PO MAPIE

W tak zwanej „wielkiej polityce" nadal nic się nie dzieje.

Narazie typowe „rozmówki z Ollendórfa", toczące się od szeregu miesięcy w londyńskim komitecie nieinterwencji, doprowadziły do uzgodnienia zawikłanej sprawy międzynarodowej kontroli lądowych i morskich granic nieszczęśliwej Hiszpanii oraz do ustalenia tak wysokich poborów dla „kontrolerów", że będą oni niewątpliwie osobiście zainteresowani w jaknajdłuższym trwaniu wojny domowej na półwyspie Pirenejskim. Nie jest przy tym wykluczone, że członkowie komitetu mogą się jeszcze pokłócić przy rachunku, jako że na przykład Niemcy już proponują, że przypadającą na nie część kosztów zapłacą... w naturze.

We Francji — socjalista Blum najwyraźniej poczynił znaczne ustępstwa na rzecz premiera Bluma. Uchwały ostatniej rady gabinetowej w dziedzinie finansowej — to już nie „pauza", a prawdziwa rejterada przed „złotym cielcem". Francja jest zresztą w tej szczęśliwej sytuacji, że na „socjalistyczne ofensywy" i „kapitalistyczne odwroty" może sobie pozwolić, bo jest dostatecznie bogata.

Rzecz inna, że nawet w ustrojach totalnych należy wystrzegać się przesady. Mamy tu na myśli znakomite uchwały Wielkiej Rady Faszystowskiej w dziedzinie polityki populacyjnej, będące czymś w rodzaju programu „planowej hodowli ludzkiej". Wydaje się nam wszakże, że jest to dziedzina życia, w której zastosowanie najostrzejszych zarządzeń policyjnych nie może być skuteczne, jako że bez absolutnie nieprzymuszonej i dobrej woli współwykonawców nowy obywatel nie może się narodzić. W danym wypadku nie pomoże najbardziej wzorowa karność i posłuszeństwo społeczeństwa, ani najsurowsze zarządzenia administracyjne.

Rzecz inna, że w warunkach słonecznej Italii spadek liczby urodzeń mógł być przez władze uznany za masową demonstrację antypaństwową, względnie za swoisty „sabotaż". Mybyśmy raczej skłonni byli uważać zjawisko to za sygnał, że widocznie jakaś struna została przeciągnięta i że po kolosalnym wysiłku abisyńskim należało by obywatelom dać trochę odpocząć.

Zwłaszcza obecnie, gdy wedle słów samego il Duce — Włochy stały się krajem nasyconym. A zatym dalsza realizacja włoskiego planu państwowego może się odbywać w tempie mniej forsownym, tym bardziej, że na tym polu żadne mocarstwo europejskie jak dotychczas Włoch nie wyprzedziło.

Wiele hałasu narobiła w Europie sprawa jakichś rzekomych przygotowań do narodowo-socjalistycznego „puczu" na Węgrzech. Z rzeczy konkretnych operujemy w tej sprawie trzema faktami: 1) udzielono nagłej dymisji dyrektorowi policji węgierskiej p. Ferenczi; 2) poseł niemiecki w Budapeszcie von Mackensen nie mniej nagle wyjechał na urlop; 3) komunikat oficjalnego Niemieckiego Biura Informacyjnego, przypisujący rozpowszechnienie wiadomości o „puczu" i finansowej pomocy udzielanej rzekomo niedoszłym, czy nieistniejącym zamachowcom przez pewne mocarstwo zagraniczne — „żydowskim dziennikarzom".

Niewiele więcej wyjaśnia oficjalny komunikat węgierski, który, z jednej strony kategorycznie zaprzecza wszelkim pogłoskom na powyższy temat, zaś z drugiej strony obwieszcza, że „królewskie urzędy prokuratorskie otrzymały z ministrstwa sprawiedliwości polecenie ścigania wszelkich przestępstw antypaństwowych, bez względu na to, skąd pochodzą i jakimi hasłami są dokonywane".

Natomiast kłopoty wręcz odmiennego rodzaju spotkały chińskiego dyktatora, marszałka Czang-Kai-Szeka, który w żaden sposób nie może zwalczyć fali „patriotyzmu", która zgoła niespodzianie ogarnęła chińskich komunistów. Wyrzekają się całej swej ideologii, rezygnują nawet z „walki klasowej", obiecują nawet, że zaniechają propagandy komunistycznej byle tylko móc walczyć z Japonią pod dowództwem nankińskiego dyktatora.

Ten ostatni doskonale zdaje sobie sprawę, że chodzi tu wyłącznie o opanowanie „Kuomintangu" od dołu i o wplątanie Chin w beznadziejną wojnę z Japonią — ale nie może tego głośno powiedzieć, ze względu na antyjapońskie nastroje własnego społeczeństwa. Zaś z innego punktu widzenia można by powiedzieć, że postępowanie chińskiej partii komunistycznej ma wymowę bardzo nieskomplikowaną: to jeszcze jedna „zdradzona rewolucja", zdradzona w imię sowieckiego planu państwowego, którego wykonanie wymaga za wszelką cenę związania Japonii w jakim kolwiek kierunku, poza... syberyjskim... (66).

GŁOSY I ODGŁOSY

„KORELACJA".

Wiele pism zamieściło komunikat K.A.P. w sprawie t. zw. „korelacji nauki szkolnej z nauką religii katolickiej". Przypomina K. A. P. konieczność pełnej realizacji okólnika ministra W. R. i O. P. Świętosławskiego z dn. 24. 3. 1936 r. o brzmieniu następującym:

„Polecam wszystkim nauczycielom szkół powszechnych oraz gimnazjów zaznajomić się z nowym programem nauki religii rzymsko-katolickiej, aby przy realizowaniu programów poszczególnych przedmiotów uwzględniali we właściwy sposób korelację z nauką religii rzymsko-katolickiej".

Jaka będzie konsekwencja tej korelacji? Czy nie będzie czasem zmuszony nauczyciel historii do przypisywania zwycięstwa Piłsudskiego „cudowi nad Wisłą"? I konsekwentnie, czy nie wprowadzi się czasem teorii cudów do nauki chemii i fizyki?

Otóż — naszym zdaniem — nauka religii nic nie ma wspólnego z wiedzą konieczną dla państwa, a wszelkie „korelacje" i zaciemniania prawdziwej wiedzy — to działalność szkodliwa, powstrzymująca rozwój oświaty i wiedzy.

Nie możemy cofać się do średniowiecza i straszyć nauczycieli nowoczesną inkwizycją!!!

TROGLODYTYZM PIĘKNODUCHÓW

W N-rze 5 „Pionu" z dn. 4 lutego b. r. p. Jaromir Ochęduszko pisze, co następuje:

„*Misją ludzi intelektu nie jest branie czynnego udziału w wydarzeniach politycznych: niech każdy uprawia swoje rzemiosło.* Pisarz powinien być w pierwszym rzędzie sędzią, którego obowiązkiem jest natychmiastowa interwencja w chwili, gdy zasady zgodne z jego sumieniem są w niebezpieczeństwie. Politycy myślą naogół doraźnie, — dziś na polach Hiszpanii grają komedię, której ostatni akt może być tragiczny; ludzie intelektu są bardziej dalekowzroczni, — ich zadaniem jest zwalczanie rzekomych „cywilizacyj", które pod różnymi pozorami dążą do narzucenia supremacji mas, do ograniczenia jednostki do roli cyfry w obrachunkach taktyki wyborczej czy gospodarczej — sugerowanie ideału, lecz nie realizowanie go, nawet w imię najświętszej prawdy".

Znamienne to uwagi po wielkiej wojnie. Czyż p. Ochęduszko uważa, że politykę mają prowadzić i realizować niedouczeńcy, parobkowie i straganiarki, gdyż z nich składa się ta masa, która — według p. Ochęduszki — działa politycznie? A czy nie jest mu dobrze znany fakt, że nawet najbardziej masowe i antyinteligenckie ruchy polityczne prowadzone są przez inteligencję? Właśnie to jest nieszczęściem, że polscy intelektualiści ani w niewoli, ani po odzyskaniu niepodległości nie byli wychowywani politycznie, odstępując te par excellence inteligenckie funkcje półinteligentom, lub zmanierowanym inteligentom, jak dziennikarze itp. Z drugiej strony nie zauważył p. Ochęduszko, że właśnie w państwach dynamicznych, jak np. we Włoszech jest szanowana twórczość intelektualna i artystyczna, a intelektualiści nie są tam, jak u nas nikomu niepotrzebnymi bezrobotnymi, zawieszonymi w próżni.

SANDOMIERSKA „GORĄCZKA ZŁOTA"

Jeszcze nie przebrzmiały echa deklaracji o rozbudowie Centralnego Okręgu Przemysłowego, — a już tereny i place w Sandomierszczyźnie stały się przedmiotem nie zdrowej spekulacyjnej gorączki.

W kraju, w którym panuje przysłowiowy brak kapitałów, perspektywa grubszych zysków potrafiła jednak wywabić spore sumy, których żadna inna siła nie byłaby w stanie uruchomić.

Na spekulację kapitały w Polsce zawsze się znajdą, ale na podstawowe gospodarcze inwestycje, na budowę zdrowych produkcyjnych warsztatów, na to prywatna inicjatywa nie ma środków.

Żebranina państwowych kredytów i ulg to najczęstszy objaw naszej prywatnej inicjatywy. Natomiast zaryzykowanie przez prywatnego kapitalistę lokowania swych kapitałów w zdrowym przedsiębiorstwie — jest bardzo rzadkim objawem w naszym życiu gospodarczym.

Jeżeli nie ma perspektywy conajmniej 100% zysków, to kapitał prywatny woli się nie angażować.

Wtedy inicjatywa prywatna ogranicza się do roli mentora poczynań państwowych — „Niech Państwo da kredyty, pomoc, ulgi, a wtedy inicjatywa prywatna pokaże co umie".

Oto nuta powtarzana w różnych wiariantach przez naszych „przodowników życia gospodarczego".

Sandomierska „gorączka złota" dowodzi, że Polsce nie kapitałów brak, ale przede wszystkim zdrowej prywatnej inicjatywy gospodarczej. (161).

FLOTA SOWIECKA

Ciekawe dane o wojennej flocie sowieckiej przynosi miesięcznik **Frontières.**

Czytaliśmy tego lata, że między Sowietami a Anglią ma być zawarty traktat morski, przy czym Z. S. R. R. żądał przyznania mu prawa do floty równej połączonym flotom Niemiec i Japonii, a więc równej potęgą Anglii lub Stanom Zjednoczonym.

Rzeczywistość wygląda zgoła inaczej. Już położenie geograficzne wskazuje, że Rosja z trudem tylko mogłaby dążyć do stania się potęgą morską. Na Bałtyku Sowiety posiadają tylko jeden port, Kronstad. Flota ich więc była by podzielona między tym zamarzającym corocznie portem a Władywostokiem. Na morzu Białym i Oceanie Arktycznym jeden jedyny port na wybrzeżu Murmańskim. Jeśli chodzi o Morze Czarne, wydaje się że Rosja zrezygnowała z niego jako bazy wojennej, godząc się na remilitaryzację Dardaneli przez Turków.

Z carskiej potęgi morskiej Z. S. R. R. odziedziczył tylko flotę bałtycką. Była ona dość silna jak na owe czasy, ale na skutek rewolty marynarzy w 1921 i późniejszego zaniedbania, wartość jej spadła niemal do zera, tymbardziej że cztery potężne pancerniki znajdujące się w budowie, nigdy nie zostały wykończone.

Jednakże od kilku lat słyszymy o budowie floty sowieckiej. Chodzi tu wyłącznie o łodzie podwodne. Niemiecki **Marine Rundschau** ogłosił następującą listę sowieckich łodzi podwodnych: Bałtyk 40, Morze Czarne 20, Morze Białe 6, Daleki Wschód 30, razem więc prawie sto.

Liczbę tę potwierdził Tuchaczewski w jednej ze swoich mów. Taką ilością nie może się pochwalić żadne państwo świata. Stany Zjednoczone posiadają 95, Francja 89, Włochy 77, Japonia 69, Anglia 60.

Oczywiście łatwiej budować łodzie podwodne, niż pancerniki o tonażu stokrotnie większym. Jednakże na pierwszy rzut oka cyfra ta nas zaskakuje. Wiąże się ona jednak ściśle z doktryną morską Sowietów wierzących w skuteczność broni podwodnej, popartej armią powietrzną, która jak wiemy, stoi w Z. S. R. R. na wysokim poziomie.

To współdziałanie miały na celu ostatnie manewry bałtyckie, których rezultat — według **Krasnaja Zwiezda** — był bardzo zadawalający.

W każdym bądź razie musimy zdać sobie sprawę. że owa wielka ilość łodzi podwodnych jest rozrzucona na czterech morzach. Z drugiej strony bez floty liniowej, bez pancerników, łodzie podwodne są tylko bronią odporną a nie zaczepną. A wreszcie wartość tej broni nawskroś nowoczesnej, technicznie skomplikowanej, zależna jest całkowicie od wartości załogi, która musi posiadać zalety zupełnie wyjątkowe. Wysoką sprawność techniczną, fizyczną wytrzymałość i nieustraszone męstwo.

Niezależnie od tych względów Sowiety potęgą morską nie są i przynajmniej w najbliższej przyszłości nie będą.

NOWE KSIĄŻKI

Przykładem świadomego użytkowania talentu celem tendencyjnego oświetlenia pewnych założeń ideowych jest wstrząsająca powieść B e r t o l d a B r e c h t a *). Można nie zgadzać się z tezami, jakie antycypuje czytelnikom autor „P o w i e ś c i z a 3 g r o s z e", można tezy te namiętnie zwalczać — jedno jest pewne, iż mamy tu do czynienia z książką formalnie i tematycznie wyjątkową, bez precedensu.

Brecht jest wrogiem ustroju kapitalistycznego, zarówno w jego aspekcie społecznym jak i gospodarczym. Jako znany i ceniony pisarz mógł by więc zwalczać kapitalizm w artykułach, publikacjach, polemikach. Ale dzieło sztuki jest aparatem, narzędziem propagandowym zgoła wyjątkowym. Jeszcze jeden artykuł — najbardziej fachowy i namiętny — przeszedł by, zapewne, bez wrażenia, nie spełniając tym samym zamierzonej roli. Więc pisarz wydaje książkę, potężny ponad 550 stron liczący tom, której treść jest usprawiedliwieniem jego ideologii. Zapewne, „Powieść za 3 grosze" była by interesującym zjawiskiem literackim nawet przy odrzuceniu jej aspektu ideowego. Dopiero jednak konfrontacja apriorystycznych założeń ideowych autora z osiągnięciami artystycznymi jego powieści pozwala „Powieść za 3 grosze" zrozumieć naprawdę, ocenić rzetelnie.

Tematem książki jest wycinek działalności kilku businessmanów angielskich w czas wojny boerskiej, oscylująca — jak i jej wykonawcy — między prawem i bezprawiem, między legalnością a zbrodnią. Zresztą zbrodni jest znacznie więcej... Na tym tle bohaterowie książki urastają do znaczenia pewnych symboli ogólnych, działalność zaś ich zarysowuje się jako przekrój społecznej i gospodarczej atmosfery naszych czasów.

Są w „Powieści za 3 grosze" pewne symplicyzmy, pewne skróty myślowe, które rażą czytelnika swą zbyt „oczywistą" ideologią. Ale całość utworu pozostawia bez wątpienia wrażenie pozytywne, dodatnie. Abstrahując całkowicie od ideowej maniery Brechta na książkę jego zwrócić należy jaknajbaczniejszą uwagę. Oto przykład pracy świadomej, związanej z rzeczywistością i jej aktualnymi zagadnieniami. Oto przykład, w innym obcym nam układzie ideologicznym, literatury państwowej. Kiedy książkę taką ujrzymy w Polsce?! (135)

*) Bertold Brecht: Powieść za 3 grosze. Przekład M. Tarnawskiego. (Wiersze tłumaczył W. Broniewski.) Warszawa, 1936. Nakł. Księgarni Popularnej.

Wydawnictwa nadesłane

Władysław Grabski: „Parcelacja agrarna wobec struktury, koniunktury i chwili dziejowej Polski", str. 39.

„Gospodarka Narodowa", Nr 5 z 1937 r.

„Sprawy Narodowościowe", dwumiesięcznik, rocznik 1936 r.

Janusz Ignaszewski: „Polski rynek żelaza w roku 1936", Katowice 1937 r., str. 24.

Tadeusz Garczyński: „Państwo na przełomie", Towarzystwo Wydawnicze „Rój", Warszawa, 1937 r., str. 179.

Wiktor Alter: „Antysemityzm gospodarczy w świetle cyfr", Wydawnictwo „Myśli Socjalistycznej", Warszawa, 1937 r., str. 62.

Arkady Fiedler: „Ryby śpiewają w Ukajali", Towarzystwo Wydawnicze „Rój" Warszawa, 1936 r., str. 253.

Arkady Fiedler: „Kanada pachnąca żywicą", Towarzystwo Wydawnicze „Rój" Warszawa, 1937 r., str. 274.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 40 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. 40 gr. — kwartalna w kraju 4 zł. — zagranicą 6 zł.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10